ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA I
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 52

WARSZAWA
DNIA 31 GRUDNIA 1913 R.

Od Administracji.

W celu ustalenia nakładu prosimy o zamówienia na rok 1914. Prenumeratorzy zamiejscowi zechcą nadesłać należność. Prenumeratorom, którzy nie wniosą przedpłaty lub nie nadeślą zamówień, wstrzymamy wysyłanie pisma.

Jazda na gwiazdkę!

Jakież to rzewne wspomnienie pozostało nam wszystkim z dorocznych uroczystości starożytnej *Kolendy* co od wieków, już zbliża nas do siebie, gromadząc rozpierzchłych gdzieś po świecie krewnych przy jednem wspólnem ognisku, którego serdeczne ciepło rozgrzewa oziębione w wirze szalonej zbyt walki bliskiej krwi związki. Wszak te miłych dni kilka spędzonych na wspólnej zabawie i biesiadzie, na wynurzeniach do najbliższych wszystkich radości i smutków,—na pieszczotach, uciechach z młodemi latoroślami swego rodu, wlewa w nas otuchę lepszej przyszłości i napełnia nadzieją, że jednak nie skończy się bez pożytku praca nasza prywatna czy publiczna bo najbliżsi nasi, ci oto następcy poprowadzą ją skutecznie *dalej*. Nawet i te małe podarki gwiazdkowe wkoło choinki obwieszone, czy też pod obrus na sianie podłożone czy nie łączą one niewidomą jakąś nicią w sercu głęboko tkwiącą, kilku generacji a jednego rodu?

Najpierw więc w dzieciństwie czujemy wielką radość otrzymując kolędę, potem w dojrzalszym i starszym już wieku, przywożąc na święta upominki upajamy się sami naprzód tą uciechą jaką sprawią one naszym najdroższym, czy to dużym czy małym.

A czyż to wesołe zebranie rodzinne, te odwiedziny najbliższych sąsiadów we święta czynione, nie tkwią, po dziś dzień, każdemu z nas jeszcze w pamięci? —

W mieście wszystko prędzej w szablon już przechodzi. Zabawy więc różne: publiczne,

teatry, koncerty i kawiarnie, jeżeli już nie nocne kabarety i gabinety rozpraszają wprędce świąteczne nudy i odrywają od łona rodziny, nawet przyjezdnych zdala krewnych.

Ale na wsi i podotąd jeszcze inaczej się jakoś dzieje, każdy nawet hulaka miejski i habitué nocnych zakładów z damską kapelą,— rad nie rad, musi tam praktykować cnoty domowego ogniska. A przecież jak mówi jeden z ojców kościoła — z zawsze praktyką, idzie również i przekonanie się do treści dokonywanego obrządku.

Rezultatem więc każdego świątecznego zjazdu pozostaje zawsze większa łączność zobojętniałych już dla siebie agnatów i pewne węzły już rozluźnione nabierają żywotniejszego znaczenia.

— Ale zdaje mi się, że państwo macie już pewnie dosyć tego balastu w świątecznym artykule o rodzinnem znaczeniu zjazdów gwiazdkowych i gdyby on Was znudził podczas Wilii stałby się zaprzeczeniem swego celu, którym jest wywołanie właśnie wesołego przy opłatku nastroju! — Wreszcie, czyż każdy z nas dotąd jeszcze nie pamięta doskonale mąk—oczekiwania owych świąt upragnionych, o których właściwie myślało się już ciągle, od powrotu z letnich ferji i wykreślało się dzień każdy w kalendarzu, od nich nas jeszcze dzielących.

Już sama więc jazda na owe święta była bardzo a bardzo przyjemna, kiedy to po małego wstępniaka przyjeżdżał Tatuś lub Mamusia, albo lepiej nawet kiedy po większego już „scyzoryka“ przysyłano z domu starego Mateusza z ciepłym kożuchem. Troskliwie otulał też on w-nego panicza,—wiedząc dobrze, że w drodze, zakazane papierosy kurzyć razem będą!!

Dopiero też to wtedy kiedy mu się już należycie gęba, przegrzała od machorki nie było końca opowiadaniom młodemu dziedzicowi!!

A to, więc najpierw, że kucka dobrze się trzyma, jeno że jej rządca grzywę i ogon obciąć kazał, żeby się zaś jej wszoły nie wdały. A to, że Maćków Franek wielki jego kompan i główny adjutant, podczas wakacji, awansował już na forysia i razem konno jeździć teraz będą. Przychodziły też i smutne czasami nowiny jak np., że teraz strażnik ziemski bardzo się zawziął, i że odgraża się mocno paniczowi fuzję zabrać jak go jeno gdzie na polowaniu przypotka. Ale smutne refleksje na ten temat snute rozwiewało wkrótce piękne, późne popołudnie grudniowe i dzwonek, brzęczący monotonnie u sanek pogrążył w błogie marzenia młodego pasażera. Śnił więc już jeno teraz o tem jakto, dobrą pokazawszy cenzurę zapewne upragniony oddawna flower na gwiazdkę dostanie, bo nawet przeczuciem wiedziony przecie już sobie do niego naboi kupił!! Więc też wszystkie straszne policyjno-administracyjne zmiany zniknęły wkrótce dla młodego Nemroda — i gwiazda nadziei świeciła mu wesoło z oddali, kiedy wjeżdżał już wieczorem w progi domowego ogniska!!!

. . . .

Inaczej to jednak bywało, kiedy jechało się na święta już „pod wąsem“ z ukochanych dotąd przez nas wszystkich, dawnego autoramentu, Puław!

Nie myślcie bowiem Państwo, że wypadki kolejowe są przywilejem najostatniejszej doby!

— Owszem kolej Nadwiślańska, zaraz od początku swego otwarcia, przed trzydziestu kilku laty, osiągnęła była w tym względzie rekord rzekomo tak doniosły, że rodzice nasi bojąc się o całość swych synów przysyłali nam do Puław dodatkowo pieniądze na extra pocztę, aby dojeżdżać końmi do drogi Terespolskiej, choć była na miejscu stacja kolei nadwiślańskiej! Naturalnie, że my, ze swej strony, w listach do rodziny, przesadzaliśmy doniosłość kolejowych katastrof, aby nie obniżać tych przekazów a przesyłaną zaś nadwyżkę na „rajze kosten“ przepuszczaliśmy sumiennie u Engelsowej „na bilardzie“!

Koniec więc końcem tak się też raz złożyło, że kiedy na święta jechaliśmy to nawet i na Nadwiślańską floty nie było. Zwołaliśmy się więc na „walne“ posiedzenie na „Aleksandrówkę“ i rada w radę, zkąd pieniędzy wytrzasnąć.

Niestety, bowiem po zebraniu wszystkich obrotowych kapitałów, a nawet sprzedania obroży z ulubionego psa „hrabiego Józia“—okazała się taka bryndza, że i do Warszawy, nietylko do domu nie było o czem dopłynąć. No! ale, przecie, jako polska młodzież ziemiańska znaliśmy też dobrze i polskie przysłowie, że

„kiedy bieda, to do żyda“!

Więc niedługo tedy przywołany „Berek“, główny Rotszyld studencki, zjawił się usłużnie w progu.

— Dlaczego, ja nie mam dać, Wielmożny Panie hrabiemu, jak tylko potrzeba to Berek może wigodzić.—Ale, dla pewnoszczy przed wyjazdem to i Wielmożny Pan „Każo“ niech tyś podpisze—przecież, i człowiek bezpieczniej na dwa nogi stoi to i na dwa podpisy tyż lepi pasuje.

— Canaille!—mruknął, krociowy pan „hrabia Józio“ do Kazimierza—a dodawszy coś zcicha po francusku,—rzekł głośno—no, dawaj mamonę i bierz cyrograf—na naszą duszę. Poczem napisał, wprędce, rewers i podał go z uśmiechem Kaziowi, który również zamaszyście podpisał swe „żyro“ a „bankier“ wgłębił, nieczytając rewers w otchłanie łapserdaka.

. . . .

Coż, jednak była za głupia mina Berka, kiedy po powrocie naszym ze świąt do Puław zwrócił się on do Józia o walutę z rewersu wraz z umówionym procentem „rubla od dziesięciu“ na tydzień, jak to przywykł pobierać „za wygodzenie“. „Hrabia“ bowiem odrzekł mu wtedy w odpowiedzi.

— Mój kochany, ja już o tem nie pamiętam jak to było i niech ci kto najpierw ten papier odczyta. — Poproszono więc zaraz jednego

z kolegów i ów przeczytał głośno co na skrypcie było napisane:

„Ja Józef S... pożyczam od Berka Szynkwas rubli dwadzieścia pięć, których zobowiązuje się nie oddawać“. A po podpisie wystawcy, tego obligu następowało „żyro“ tej treści, że jeżeli do oddania długu wystawca nie jest obowiązany, to i ja ani myślę“! „manu propria“

Kazimierz P...

Gwałt podniósł na to przezacny Berek przyczem bardzo ucierpiały: jego broda i pejsy, które sobie wyrywał z rozpaczy—a studenci śmieli się potem jeszcze z niego przez cały zapust. — Dopiero z nastąpieniem wielkiego postu ulitował się wreszcie nad nim „Józio“ i wypłacił należność, z warunkiem jednak, że odtąd pobierać on będzie od kolegów tylko pięć złotych zamiast rubla od dziesięciu na tydzień.

Agricola.

Z KSIĄŻEK.

Poezje Zofji Wojnarowskiej. (Wydawnictwo Blumera r. 1913).

Wojnarowska jest poetką młodą, poza kilkunastu wierszami, ogłaszanemi ulotnie w czasopismach, ma za dorobek swój literacki pierwszy tom poezji, wydany nakładem Blumera.

Ale odrazu, w tej pierwszej próbie znać jej „ton“, słychać leitmotywowy dźwięk jej melodji.

A melodją tej pieśni jest upojenie, rozkosz, posunięta do najwyższych granic ludzkich, rozkosz *swego* wrażenia, swych marzeń i ołtarzowy kult piękna tych marzeń.

Zaczarowanie idzie z tych wierszy, lśni stubarwny koloryt baśni,, a jednocześnie tajemną jakaś bije z nich potęga, moc która wstrząsa duszą i prowadzi w zawrotne kręgi, w nadgwiezdne drogi niedoścignionego.

Po lirykach i erotykach doby wczorajszej, zaczyna dźwięczeć u najmłodszych to przedziwne hasło utajone. W poezjach Wojnarowskiej odzywa się ono jak talizman, własny, głęboko skryty — ukochany. Nazywaliśmy to już kiedyś ideałem, teraz może kultem — a może jest to słowo tajemnicze znak na czole poety—stygmat.

Każde wrażenie znajdujące wyraz swój w wierszach Wojnarowskiej, jest dziełem samo w sobie. Czy to będzie przelotna myśl — promień, myśl o kmieciu jabłoni, lub jednej chwili słonecznego ranka, czy też przedwieczne zamyślenie o długiej kolei ludzkiej doli, wycyzeluje je lutnia poetki zarówno, dając mu jednocześnie moc i ogromną subtelność.

Jest to dowód nietylko już talentu, ale wielkiej kultury umysły i uczucia.

Subtelne, ciche, słodkie są te słowa, brzmią jak muzyka półtonów, kwitną jak białe róże, przynoszą zapachy wiosny i zda się że tylko słuchać ich, jak zadumy smętnej, łagodnej, gdy nagle zadźwięczy ton mocny — jeden wyraz, jeden rytm jak z bronzu wykuty, błyśnie myśl jak szpada i pochwyci wrażenie i poniesie wichrem lotnym, ogromnym — pod słońce.

Subtelność kunsztu z jednej strony, a ogień talentu z drugiej to zasadnicze motywy poezji Wojnarowskiej.

Ile jeszcze jest w niej nastrojów tęsknot, przedziwnego stylizowania wrażeń, przekracza ramy krótkiej, pierwszej impresji — powrócimy jeszcze do tej poetki.

Natalja Jastrzębska.



Rys. A. Słonimski.

Jak cichy wyrzut uczyniony sztuczności miasta zieleni się Saski Ogród śród morza kamienic — w samem śródmieściu, tuż pod ołtarzem Molocha. Wygląda jak zielone jezioro, śród szarych kamiennych rozłogów — jak małe, kurczące się jeziorko, zasypywane pyłem miasta, zagrzebane w ciżbie i zgiełku. Kurczy się coraz bardziej, a polip miasta coraz to bliżej zesuwa swe macki. Ogród Saski. który był niegdyś rozległy i obficie zadrzewiony, niczem park na pół zdziczały, teraz oto z przerażającą szybkością maleje. I zjawia się obawa, czy w niedalekiej przyszłości nie będziemy mieli zamiast Ogrodu Saskiego — zwykłego skweru, rzuconego na szary plac dla „hygieny", dla tego bezsilnego oczyszczczania miejskiego powietrza przez kępki zieloności.

Ulica wkroczyła już w obręb ogrodu, wązkim, betonowym chodnikiem pobiegła na przestrzał, od ulicy Marszałkowskiej do Niecałej. I zielony most łączący północną część miasta z południową przestaje powoli być ogrodem.

Przechodnią, zadrzewioną ulicą jest już teraz Saski Ogród. Ten sam ogród, w którym się połowa dzieci warszawskich wychowywała i jeszcze wychowuje. Ten, przez Bolesława Prusa zwany „letni salon Warszawy".

Źle prosperującem laboratorjum tlenu — jest Ogród Saski w Warszawie. Wydeptany, ucywilizowany w równe, szerokie „aleje" pocięty. Wydarto mu wszelką tajemnicę, wszelką własność induwidualną. I tylko złowrogo błyszczy jednem okiem, którem jest sadzawka. Sadzawka zalewana blaskiem lamp elektrycznych, płonących na ulicy Kotzebue.

. . . .

Panie! Śpieszący się, panie, o szpakowatych włosach! Jakże szybko biegnie pan betonowym chodnikiem, nawskroś Saskiego Ogrodu. Nie widzi pan nic koło siebie. Ani trawników, ani ławek, zimnem szkliwem jesiennego dnia powleczonych, ani zziębniętych dziewczynek, grających w „klasy"! Idzie pan przez ogród, bo tędy bliższa droga do ulicy, na której musi pan załatwić pewien bardzo ważny interes. Pewno jest pan bogatym finansistą, poważnie biorącym życie — człowiekiem interesów. Czy istnieje dla pana Ogród Saski? Czy pomyślał pan kiedyś, że może ogród ten ma duszę. Że może myśli i czuje, pamięta i odgrzebuje wspomnienia?

Nie. Pan o tem nigdy nie myślał. Pan nie miał na to czasu. Zresztą — któżby się podobnemi rzeczami zajmował.

A przecież był czas, kiedy nie szedł pan przez Ogród Saski w melonie, w bogatem futrze, z hebanową laską w dłoni. Nie zawsze miał pan ważne sprawy na ulicy Niecałej.

Wieziono pana niegdyś przez ten ogród w małym wózku na gumowych kołach, w wózku dziecinnym ze skórzanym dachem. Na białych poduszkach, w spowiciu koronek leżało różowe, uśmiechnięte bobo — rozkoszny, słodki dzieciak. I pomyśleć tylko, że to pan właśnie był tem dzieckiem, pan, który nosisz binokle, golisz siwiejącą brodę. To ty wjeżdżałeś na wózku — poważny panie — i nad tobą było błękitne niebo i zielone ramiona drzew tak śmiesznie poruszały się w górze. Świeciło słońce — nie wiedziałeś wtedy, że się to nazywa „słońce". Czułeś tylko, że kąpano cię w ciepłym, złotym blasku. I coś szumiało, wciąż szumiało. Teraz wiesz już, że to drzewa tak szumiały.

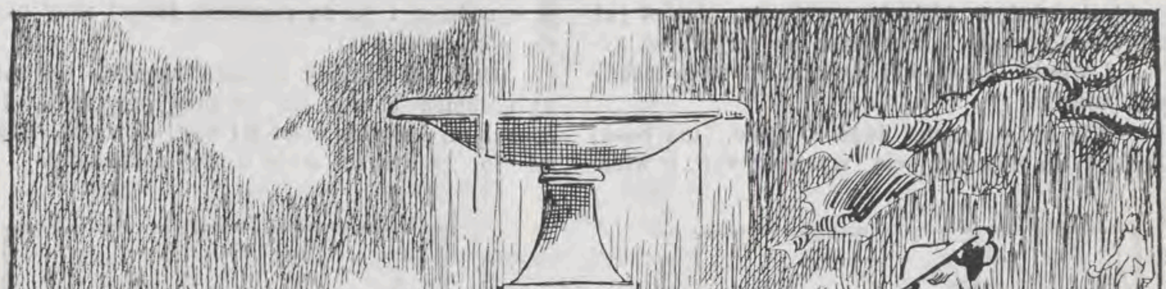
Potem stałeś się „dorosłym" chłopcem. Chodziłeś w angielskim garniturze po alejach i lękałeś się. Napełniał cię dziwny strach wobec tego ogrodu, który nie miał końca i wydawało ci się, że jesteś taki strasznie mały, prawie niewidoczny, przy wielkich drzewach.

Przecież to ty budowałeś domy z zielonych kasztanów.

I było to równie trudne, jak budowanie domów z cegły. Powoli przestałeś się bać ogrodu. Nosiłeś czapkę z gwiazdką. Byłeś już uczniem. Bawiłeś się z kolegami w rozbójników. Znałeś wszystkie oddalone zaułki i zakamarki ogrodu. Wiedziałeś, gdzie się należy chować, aby cię nikt nie mógł znaleźć.



Rys. Wł. Nawojewski. **Ślizgawka w Saskim Ogrodzie.**



Rys. Wł. Nawojewski. **Przed fontanną.**



Rys. Wł. Nawojewski. Epizod.

A gdy dobrze poszukasz w pamięci, to stanie ci przed oczami szereg wieczorów. Pod baldachimem gałęzi idziecie we dwoje. Jesteś już naprawdę dorosły i zaczynasz na serjo brać życie. I wtedy Ogród był świadkiem twej pierwszej miłości.

Wie on strasznie dużo o tobie, ten Saski Ogród. On również cię wychowywał i wiele ścieżek twego życia wiło się wśród tych samych trawników, na które teraz ani spojrzysz...

Szedłem raz w wieczór przez ogród. Było prawie pusto. Ławki uciekały daleko, a nad niemi wisiały lampy, jak seledynowe, promienne łzy, zawisłe na słupach. I na jednej ławce ujrzałem człowieka. Wśród zimnego, grudniowego wieczoru.

I przyszło mi na myśl, że ten człowiek zżył się z Saskim Ogrodem. Że wrócił doń z życiowych kolei, zmęczony, sterany, zwyciężony.

Niegdyś pewno siedział tutaj pełen wiary i zapału. I sądził, że w tryumfie upłynie zmierzch jego życia.

Czy nie możesz mi wytłómaczyć, o panie, co robił tutaj ów człowiek w grudniowy, zimowy wieczór?

* * *

Czarny niewód zawisnął nad ogrodem. Utkany z bezlistnych gałęzi, ociekający światłem elektrycznem. Klomby kwiatowe — puste, umarłe. Pewna pani opowiada:

„Miałam wtedy lat piętnaście, a i on nie miał więcej. Przechadzaliśmy się latem po Saskim Ogrodzie. Klomby kwitły, klomby pełne były kwiatów. Dawniej myślałam, że klomby są to barwne dywany, które Bóg położył na trawnikach. Później wiedziałam już, że pielęgnują je ogrodnicy i że za zerwanie jednej róży płaci się pięć rubli kary.

Otóż chodziliśmy naokoło klombu. Ów młody chłopiec bardzo się ze mną przyjaźnił. Pożyczał mi książki, pisał mi wypracowania. Zdaje mi się, że był we mnie trochę zakochany.



Rys. Wł. Nawojewski. Zima.



Rys. Wł. Nawojewski. Astronomja.

— Jakie piękne kwiaty, — zawołałam. — Jakżebym chciała posiadać choćby jedną różę z tego klombu.

Było pełno ludzi. Działo się to w biały dzień. Chłopcy ciągnęli blaszane wagoniki, niańki zrzędziły. A opodal stał stróż ogrodowy w zielonej liberji, jak posąg grozy.

Mój towarzysz nic nie odpowiedział. Spokojnie przeskoczył przez drut, zerwał wspaniałą żółtą różę i podał mi ją z uśmiechem. Tego samego wieczora posłałam mu mój pamiętnik, w którym, pod datą owego dnia — było napisane: „Kocham cię od dziś". — *Był to najodważniejszy mężczyzna, jakiego znałam.*

I dama się rumieni. Zmarszczona jej twarz wygląda jak skórka od pomarańczy.

Rozgląda się wokoło.

— Zdaje mi się, że i Ogród Saski postarzał się razem ze mną. I on utracił coś ze swej świetności... Zaczyna padać śnieg. Robi się biało. — Jak na cmentarzu... — mówi starsza pani.

Z poza posągu „Zimy" wychynęła przytulona do siebie para. Pada śnieg z deszczem i wiatr sypie białą mąką na drzewa. A oni, mimo to, idą w głąb ogrodu.

Jakób Appenszlak.

SKARB UKRYTY.

Noszę w sobie tajemnicę...
Noszę w sobie srebnolice
Szepty, modły i zachwyty —
Skarb ukryty.

Płacze skarb mój, że go grzebię...
Hej! wydarłabym go z siebie!
Hej! wszem oczom ukazała
W uniesienia ogniach cała!

Lecz kto pojmie go, zrozumie
W niedostępnej jego dumie?
Kto weń wbije wzrok jastrzębi
Nieco głębiej — znacznie głębiej?

Wy? dla których małe — małem,
Gorzkie — gorzkiem, białe — białem,
Rana — raną, złoto — złotem,
Cisza — ciszą i grzmot — grzmotem?

Których umysł nie przenika
Grzechu prawdą spowiednika,
Którym tajną gra sprzeczności,
Narodziny chwil wieczności.

Wiązań czynu liczne sploty
I daleki cel tęsknoty?
— O nie! Zatwàrdziała w pysze
Prędzej z wichrem rozkołyszę,

Błyskawicą wkuję w zorzę,
W ogniu spalę, pługiem worzę,
Prędzej spuszcze w morskie głębie,
Albo zatknę na gór zrębie —

Tę mą piękną tajemnicę:
Te wspaniałe srebrnolice
Szepty, modły i zachwyty —
Skarb ukryty,

Marja Przedborska.

Chwasty Warszawskie.

Srebrny sen Hipcia Bigosińskiego.

Hipcio należy do nowego trzeźwego pokolenia.

Dawne było niepraktyczne; dużo gadali, panie, a nic nie robili, chyba długi, Hipcio co innego. W przekonaniu własnem zbliża się on bardzo do typu anglo-amerykańskich businessmanó'w. Jak oni—wcześnie, bo zaraz po ukończeniu czteroklasowej szkółki kolejowej, wziął się Hipcio do pracy zarobkowej: wstąpił do biura technicznego. Dążył jednak do samodzielności.

Klijentom pryncypała umiał dyskretnie zakomunikować, że prace pewne może wykonać tanio u siebie w domu. Teraz otrzymuje dużo zamówień. Sam nie może podołać. Trzyma pracownika, człowieka starszego i płaci mu pensję od siebie—30 rb. na miesiąc; pracownik przychodzi do Hipcia o 9 rano, pracuje do 9 wieczorem, z przerwą godzinną na obiad. Stary głupiec—był kiedyś nawet w Politechnice; ale pisywał wiersze i — niczego się nie dorobił. Rysuje wybornie plany, oblicza szybko i dokładnie, lepiej od Hipcia.—Szkoda tylko, że ma suchoty i pewnie długo nie pociągnie. Hipcio czasem rozmyśla, czyby starego nie wysłać do Wołomina na jakie dwa tygodnie; może by się podreparował. Tylko to—ryzyko.

A jednak i trzeźwy Hipcio ma chwile marzeń — zapewne skutkiem atawizmu. Bywa to w Niedziele. Przed południem idzie na „randkie“ z Władzią. To jego przyjaciółka; dobra dziewczyna, lecz gniewa go czasem płaczem i prośbami o pieniądze. Wymyśla to chorobę, to skarży się, że ma trzewiki podarte. Hipcio nie bierze się na żadną blagę. Czy nie zarabia ona szyciem 15 rb. na miesiąc? To powinno jej wystarczyć.—Powinna być zadowolona, że ma takiego szyk-chłopca. Bo Hipcio uważa się za przystojnego. Postawny, cera różowa, oczki szare—żywe, wąsy konopiastej barwy sterczące, bo strzyżone po angielsku są mu do twarzy; włosy żółte, obficie wysmarowane pomadą, rozczesane przez całą długość głowy, lśnią jak lustro, szczególniej szpytowo wygląda w futrze z kołnierzem z sztucznej foki i w nowym „sztywniaku“ na głowie.

Po spacerze obiad w barze z bombą jasnego.

Teraz siedzi u siebie w fotelu, i paląc szwarcowanego papierosa, marzy.

Jak wszystkie natury wyższego polotu nie jest on zadowolony z położenia obecnego. Technik—to nie pozycja—żaden tytuł. Przymyka szare oczki; błoga wizja powstaje w jego wyobraźni. Oto ćwiartka losu loteryjnego, którą nabył w dystrybucji, wygrywa 3000 rb.; ma uzbieranych 1000 rb. Razem cztery: teraz można pomyśleć o poważnym interesie.

Ma Wuja Wyprztyckiego, ex urzędnika Magistratu; ten posiada 5 tysięcy. W cukierni na warcabach poznał właściciela jatki i nieruchomości na Pradze pana Bałwańskiego. Zawiązują współkę; piszą podanie i otrzymują pozwolenie na założenie kasy pożyczkowo-oszczędnościowej. Hipcio zostaje prezesem, Wyprztycki dyrektorem, Bałwański wicedyrektorem.

Odnajmują lokal; przyjmują urzędników. Złoto płynie rzeką. Hipcio widzi siebie w gabinecie z cygarem. Obok dyrektorowie. Sekretarz wbiega z pliką papierów: Do podpisu pana prezesa!

W następnych pokojach przyjmują interesantów urzędnicy i urzędniczki. Hipcio postara się, żeby te ostatnie były przystojne. Wszystkie robią oczko do pana Prezesa. Lecz on tego nie spostrzega. W biurze nie wypada. Później—co innego. Ale jak która piśnie słówko—wyleci z posady. Władzi da odczepnego—kilkadziesiąt rubli. Co?—nie chce — to jeszcze lepiej. Hipciowi jest trochę przykro, że Władka z płaczem wychodzi bez pożegnania.

Wogóle życie prezesa nie upływa na samych różach.

Trzeba myśleć o rozwoju instytucji; trzeba starać się o powiększenie dochodów, wprowadzać ulepszenia—wszystko na jego głowie!

Hipcio zwołuje sesję. Proponuje wprowadzić nowe pozycje do opłat, pobieranych od wierzycieli.

Hipcio przypomina sobie, jakie są stosowane dotychczas. A więc: procent, asekuracja, kara, za opóźnienie raty przy spłacaniu pożyczki, egzekucja, porto—to mało. Weźmy np. rachunek pierwszy z brzegu: dług 135 rb.—rata w kwocie 5 rb. wpłacona z opóźnieniem; procenty wyniosły za 2 miesiące 2 rb. 50 kop. asekuracja 25 kop., kara 45 kop., egzekucja 3 rb. 50 kop., porto 30 kop., razem wpłacono 12 rb., w poczet tego długu 5 rb., innych opłat 7 rb. Nieźle, ale możnaby lepiej.

Trzeba zwiększyć sumę opłat; należy stworzyć nowe rubryki. Prezes Hipcio jest zdania, że nazwy ich powinny brzmieć z cudzoziemska: klijenci się nie poznają—to przeważnie biedota — ledwie mieją czytać. Przypuśćmy można wprowadzić nazwy: skonto, saldo, blanco, staccato, sostenuto, da-capo, cetno, licho...

— Idź pan, to za gruby kawał, oponuje dyrektor Bałwański. Marzenia Prezesa chwilowo mącą się; w umyśle jego plączą się wyrazy, zapamiętane z metody gry na okarynie, którą studjuje, i inne niewiadomo skąd...

Znowu snuje przerwaną nić marzeń. W Alejach mieszka leciwa i bogata pani Maklerska; zapisał jej na łożu śmierci duży majątek pan

Szujnowski, ex-lokaj, który wzbogacił się przy jednym panu chorym na rozmiękczeniu mózgu. Codziennie widzieć ją można w Alejach jadącą powozem z pinczerkiem na kolanach. Hipcio poznaje ją, oświadcza się, zostaje przyjęty i bierze ślub.

Wtedy on sam wyłącznie stanie na czele instytucyi; Wyprztycki i Bałwański zatańczą, jak im zagra, bo inaczej wyrzuci ich won.. założy filję kasy, kupi kamienicę...

Oto jedzie z żoną powozem. Wszyscy oglądają się. Inżynier, u którego Hipcio pracował, pierwszy mu się kłania. Długi sznur powozów, sama arystokracja, patrzą na Hipcia z szacunkiem. Tylko pani prezesowa wygląda niezbyt okazale. Hipciowi przychodzi do głowy, że jest bardzo podobna do starego pinczera, siedzącego u niej na kolanach.— „Żeby tak kipnęła nareszcie, wzdycha prezes. — Prezes kichnąłi obudził się.

Z żalem widzi zerwaną przędzę srebrną marzeń. Nie wstając z fotelu zadumał się.—Niby sen, szepcze, a przecież, czy taki interes robi się inaczej? Będę prezesem nie za rok, to za dwa.

Hipcio jest wytrwały i umie postanowienia swe wprowadzać w życie.

K. R.

KINO



Scena z obrazu Pawła Veronesa.



Figury „futrystyczne".



Archanioł — z obrazu Ghirlandaja.

W Londynie odbył się ostatnio, jedyny w swym rodzaju, „Bal Artystyczny". Nie był to pospolity bal kostjumowy, na którym krążą pierroty i pasterki, apasze o plugawych twarzach i trubadurowie zakochani. Wielka klasyczna sztuka spłynęła na salę balową w orszaku postaci, które zstąpiły wprost z obrazów mistrzów. Panie i panowie z arystokracji angielskiej tworzyli grupy, wzięte z arcydzieł Sztuki, z płócien Veronesa, Ghirlandaja, Botticellego, Rafaela. Znalazły się nawet fragmenty z dzieł najnowszych, komiczne nonsensy futurystów. Bernard Shaw pisał o tym balu, „iż sprawiał on wrażenia dziwacznego muzeum sztuki, w którem o północy stało się już duszno, gdyż wszystkie obrazy oddychały i pochłaniały tlen z powietrza..."

FELJETON TEATRALNY.

„Zemsta za mur graniczny“ A. Fredry.

W ogólnym dorobku twórczym Fredry, w tym przeobfitym hojnie we wszystko zaopatrzonym lamusie humoru i spostrzegawczości, swady i złotej mądrości „Zemsta za mur graniczny“ bezsprzecznie stanowi klejnot najprzedniejszy, o najświetniejszym, żywym jak ogień — blasku. Nie dla swej fabuły scenicznej, ani akcji, uroczyście a powolnie, niczem złotolity pas słucki rozwijanej, jeno przez genjalny i dziwnie sprawny rysunek psychologji trzech postaci w komedji tej główne nici dzierżącycb. Rejent Milczek, cześnik Raptusiewicz i szybki jak fryga Papkin — to figury nielada papierowej żywotności, to już tuzy, które do zespołu najkrwistszych typów literatury świata zgoła się zaliczają.

Mową, która rzuca plamy barwne, tworząc z nich kształt umyślony, słowami dźwięcznemi jak muzyka i plastycznemi niby glina rzeźbiarska, stylem w treść brzemiennym stanęły duchowe struktury ludzi, zamykających w sobie wspaniały zestrój cech i charakterystych rysów — od czego mienią się różnofarbnie, niczem djament, jak Szekspira bohaterowie komiczni, z ciała i kości będący.

Hejże, ci kłócący się wiecznie sąsiedzi! To już nie spór o drobne, codzienne uchybienia, to już nie prawowanie się o szkody wyrządzone w gospodarstwie i granic *fizycznych* przekroczenia. To walka dwuch odmiennych natur, dwuch psychik różnego kalibru — toć prawie walka krańcowo sobie przeciwnych duchów. To prawieczna, w pierwotnych jeszcze stanach ludzkości spotykana nienawiść gwałtownego sangwinika do podstępnej cichości, to zapasy prostego i nieopatrznego z przebiegłym i moralnie poplątanym.

Za cóż cześnik Raptusiewicz nienawidzi Milczka? Czy tylko przez złośliwy w skutkach, nieprzychylny zbieg okoliczności, czy tylko z powodów jasnych i realnych dających się sądownie, wobec prawa wykazać? W brudzie i opuszczeniu nizkim krzakiem rozrosła się starość rejenta Milczka. Zapamiętałość i pieniactwo, grzybem plugawym pokryły jego słaby, bezwolny mózg, na wolę niebios w bezsile się zdający. Mroczne są dni starości, słabo jeno rozświetlone ponuremi gromnicami potwornych namiętności. Nawyknienia i upodobania doszły do nadnaturalnych rozmiarów. Czarnem ciemięstwem zawisły nad duszą.

Milczek — to nazwisko Rejenta. A może nietylko nazwisko. Może ten wyraz odsłania symbol jego istoty, może to słowo, które określa czającą się, skrytą w sobie niechęć do świata, tłómaczy już wszystko, czego Fredro nie dopowiedział, co przytłumił zgiełkiem akcji.

A tuż opodal cześnik Raptusiewicz, w polonezowym takcie posuwiście kroczy po parkietach życia. Zapalny, jak proch, dumny i odważny, rycerski i pełen galanterji — jako najczystszy okaz szlachcica polskiego, co to każdy „równy wojewodzie“.

Ci dwaj tak niepodobni szermierze, czarny i biały, walcząc, ukazali wnętrze swych dusz — w całej prawdzie, nagości.

A między nimi, jak rtęć ruchliwy, kręci się Papkin, tchórz i fantasta, kłamca i wydrwigrosz, ale wesoły, ale dziwnie śmieszny w tem wszystkiem i przez to rozbrajający. Plącze nici intrygi i jednocześnie stara się je rozwikłać—jest zbyt wielkim egoistą, aby szkodzić innym, jest zbyt tkliwy i pusty, aby ich niewolniczo nie kochać. Przypomina Falstafa, a przecież nieskończenie jest odeń niższy; brak mu pewnej szerokości gestu — i mimo wszystko, jest mały, bardzo nikły.

Rzecz prosta i tego rodzaju skomplikowane duchowe postacie wymagały nadzwyczajnego, subtelnego wykonania. Milczkiem był Wincenty Rapacki. Stworzył arcydzieło sztuki aktorskiej. Tkwił w maniackim uporze, wcielał się całkowicie w podstępne skradanie się chyłkiem po odwet za domniemaną krzywdę. Wyglądał jak stara, zła sowa, jak król, który stał się skąpcem—choć niegdyś promieniał szlachetnością. Cześnik Raptusiewicz, w otworzeniu p. Kotarbińskiego, szedł za nim w tan podjudzający gniew, szedł z postawą pysznego pawia, rozstaczającego przepych barw, z gatunku pawi królewskich.

Wojdałowicz był Papkinem. Drżał na myśl o śmierci i żebrał współczucia, a wszyscy się śmieli, kłamał i obiecywał, a przecież nikt mu nie wierzył. Jednem słowem był prawdziwym Papkinem.

Ci trzej artyści urzeczywistnili ideał Fredrowski. Oddali całą głębię odgrywanych przez siebie charakterów. I gdy nawet w ostatnim akcie zgoda złączyła wszystkich w złotą jedność, to mimo wszystko, byliśmy pewni, że za chwilę ci trzej—rozejdą się w różne strony. Milczek, Raptusiewicz i Papkin...

J. A.



Femina

CO PRZYNIOSŁA „GWIAZDKA".



Oto co przyniosła „gwiazdka". Spadła zasłona tajemnicy i w blasku świec jaśnieją oczekiwane podarki. A dzieci rozglądają się wkrąg. Są nieco zdumione. Może niezupełnie tak wyobrażały sobie gwiazdkę?...

PSYCHOLOGJA ZABAWEK.

Powracam raz jeszcze do zaznaczonego tematu, mianowicie: chcę mówić — o gwiazdce.

Zabłysła ona nad naszemi głowami, zapłonęły światła choinek, zaczął się raj dziecięcy uosobiony tysiącami—krociami zabawek, najrozliczniejszych kształtów i pochodzeń, zaczynając od skromnej kilkokopiejkowej laleczki lub konika, a kończąc na wspaniałych aeroplanach, automobilach, pociągach i t. d. i t. d.

Zabawkom tym należy nadać właściwe im znaczenie, spojrzeć na nie poważniej. Nie są to bowiem zwykłe wytwory, z drzewa, z porcelany, z różnych metali i materjałów, lecz posiadają a przynajmniej posiadać winny głębsze *„psychologiczne“* znaczenie. Że zabawka rozwija i kształci młodociane umysły to fakt niczem niezbity, że rodzaj jej, że ukryty w niej symbol, wpływa na dziecięcą psychologję, jest również pewnikiem. Spójrzmy naprzykład na dziewczynkę, bawiącą się lalką, którą tylkoco obdarzoną została, przedewszystkiem przygląda jej się, bardzo ciekawie, interesując się głównie jej tualetowemi przyborami w czem dziewczynka zdradza już kobietę. Następuje z lalką bliższa znajomość, zaczynają się nieskończone rozmowy, napominania, gniewy, karcenia, czułe zgody, poczem wiele czasu zajmuje zdjęcie z lalki wieczorowej tualety i ułożenie do spoczynku. Wszystko to dziewczynka wykonywa z całą dokładnością a szczególniej z całą czułością, zaznaczającą już przyszłą „Mamę“. Tenże sam *„psychologiczny“* nastrój, wywołują u dziewczynki różne zabawki wchodzące w zakres jej przyszłych domowych zajęć, a więc: *Miniaturowe* pokoiki z takiemiż mebelkami, serwisy stołowe, przybory do kawy i herbaty, maleńkie kuchenki z całem odpowiedniem urządzeniem szafki i komódki w których się układa bielizna lalek. Wszystko to oczywiście zależy od kierunku właściwego i logicznie rozumnego, nadanego tego rodzaju zajęciom dziewczynki, w tem jak we wszystkiem co się do umysłowego rozwoju dziecka odnosi, konieczną jest przewodnia myśl *Wychowawczyni*, a tą powinna być własna matka. Oczywiście, że tak w lalce i jej tualetach jak w rozmiarach i gatunkach wszystkich gospodarskich przyborów lalki i w całem jej zabawkowem otoczeniu, główną rolę odgrywa kwota na to przeznaczona. Tu następuje zasadnicza uwaga. Dzieciom chowanym w warunkach skromnych nie należy dawać do rąk kosztownych zabawek, gdyż to równało by się rozwijaniu w nich niepotrzebnych zamiłowań. Dziewczynka chowana w warunkach materjalnych średnich, nie powinna posiadać lalki bardzo kosztownej. Strój tej lalki nie może być zbytkowny, zestawiony według ostatnich wymagań mody, bo to budzi w dziewczynce zgubne zamiłowanie do zbytku, który *wogóle* z życia *dziecka* usuniętym być powinien. Najdoskonalszym wzorem, czem i jak dzieci zabawiać się powinny, jest tak zwana angielska „Nusery“ czyli pokój dziecinny, gdyż nigdzie nie zrozumiano tak dokładnie i konsekwentnie, jak w Anglji, *„psychologji zabawek“*.

Obserwując osobiście tamże, dziecięce pokoje i wszystko to co jest przeznaczonem do zabawy dziecka, doszłam do przekonania, że to jest znakomity model, według którego każda matka wzorować się powinna. W przedmiotach dawanych tam dziecku do zabawy, główną rolę odgrywają wszelkiego rodzaju kombinacje zestawienia, jakie dziecko samo z danej mu zabawki przeprowadzić musi, rozlicznych kształtów kawałki kawałeczki drzewa, do budowy domków służące, różne naklejane fragmentami malowanemi, kawałki tektury, tworzące po ułożeniu przez dziecko śliczną całość, podkłady drewnianne lub stalowe, szyny, haki, wilgotny piasek służący na budowane przez chłopczyków miniaturowe drogi żelazne. Metalowe ścianki z okienkami, z których dziecko samo składa wagony, puszczając je w ruch za pomocą odpowiedniego mechanizmu, i t. d. i t. d.,

Bardzo przygnębiające sprawia wrażenie tak często spotykane w liczniejszych rodzinach, już w kilka dni po gwiazdce, istne pobojowisko zabawek, nie rzadko się zdarza, że przedstawiają one jedną bezkształtną masę, a już conajmniej, każda zabawka jest silnie uszkodzona. Moim zdaniem cała wina spada tu na matkę, gdyż bardzo małym dzieciom, a więc jeszcze słabo myślącym, nie daje się zabawek, które momentalnie zepsuć mogą, a starszym psuć się ich nie pozwala, wskazując im dokładnie cel zabawki i sposób, w jaki się z nią obchodzić należy. Obdarzanie dzieci, szczególniej tam gdzie ich jest kilkoro, trąbkami, bębnami, gwizdawkami, piszczącemi balonikami i t. d., może być bardzo miłe, choć nie wielce umysłowo-pożyteczne dla dzieci, ale dla rodziców i domowego otoczenia, jest istną torturą. Tego rodzaju *wojskowe* zabawki w połączeniu z małemi mundurami, kaskami, szpadam, pałaszami, są na wysoką skalę praktykowane w całych Niemczech a *„psychologją“* ich, jest rozwijanie ducha bohaterskiego w przyszłych obrońcach Germanji... u nas tega rodzaju zabawki nie mają *„psychologicznego“* zastosowania. Ulubionemi bawidełkami dzieci starszych, są tak zwane zabawki mechaniczne, uświadamiające dzieci w nowożytne wynalazki a już tym samym względnie celowe, choć wątpliwem jest czy *„psychologicznie“*, zbawiennie mogą działać na bardziej już rozwinięte umysły dzieci starszych, wspaniałe modele aeroplanów lub automobili wraz z ich szoferami. W każdym razie są to zabawki bardzo kosztowne i znajdować się mogą wyłącznie w rękach dzieci bogatych.

Marcele.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

H. DE BALZAC.

18)

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

(Dokończenie).

Osobnik ów nie jest ani szwajcarem, ani stróżem, ani odźwiernym, gdyż brama, przez którą wjeżdżają umarli, jest stale otwarta; nie jest też kustoszem, choć czuwa nad pomnikami. Jednem słowem jest to nie dająca się określić anomalja, władza, która uczestniczy we wszystkiem, choć nie jest niczem; władza, znajdująca się, podobnie jak umarli, z których żyje, poza wszystkiem. Mimo to ów wyjątkowy człowiek podlega magistratowi paryskiemu, istocie chimerycznej, jak statek, który jest emblematem Paryża, istocie obdarzonej podobno rozumem i poruszającej się za pomocą tysiąca nóg, które rzadko działają jednocześnie i w tym samym kierunku, wskutek czego podwładni jej są w gruncie rzeczy zgoła niezależni. A więc furtjan cmentarny jest odźwiernym, upodobnionym do urzędnika lub, jeśli kto woli, urzędnikiem pełniącym funkcje odźwiernego. Zresztą posada jego nie jest synekurą, nie pozwala on pochować nikogo bez pozwolenia, obowiązany jest liczyć swych umarłych, wyznacza on na tem rozległem polu sześć stóp kwadratowych, które kiedyś staną się mieszkaniem tego kogo kochacie lub nienawidzicie. Tak jest, pamiętajcie o tem zawsze!

Wszystkie uczucia w Paryżu tu znajdują swe rozwiązanie i rejestrację administracyjną. Człowiek ów posiada rejestry do wpisywania swych zmarłych; spoczywają oni w swych grobach i jego księgach. Ma on pod swoją władzą stróżów, ogrodników, grabarzy, pomocników. Jest osobistością co się zowie. Płaczący ludzie nie odrazu dopuszczani są przed jego oblicze. Pojawia się on tylko w ważniejszych okolicznościach; gdy zaszła pomyłka co do osoby zmarłego, gdy nieboszczyk padł ofiarą zbrodni, gdy władza nakazuje exhumację, gdy zmarły wstaje z grobu. W kancelarji jego stoi biust panującego monarchy, a biusty dawnych monarchów spoczywają zapewne gdzieś w głębi jednej z szaf, niby w miniaturowym Père-Lachaise. Krótko mówiąc, osobnik ów jest poczciwcem jakich mało, troskliwym ojcem, czułym mężem. Ale przed oczami jego wraz z pogrzebami przesunęło się tyle uczuć ludzkich, widział on tyle łez, szczerych i udanych, widział on uczucia pod tak różnemi postaciami i na tylu twarzach, o tylu tysiącach odmian! Więc też ból jest dla niego kamieniem grubości czterech cali, wysokości czterech stów, szerokości dwudziestu dwu stóp. Co się zaś tyczy łez, to są one jedną z plag jego zawodu. Codzień nim siądzie on do śniadania lub obiadu, zmuszony jest być świadkiem nieutulonego żalu. Dlatego też jest on wrażliwym na wszystkie wzruszenia: będzie płakał w teatrze nad bohaterem dramatu, jegomościem w spodniach koloru świeżego masła, zamordowanym przez Roberta Macaire'a; natomiast serce jego skostniało na punkcie istotnych nieboszczyków. Umarli są dla niego cyframi, pośmiertna organizacja to jego fach. Zrzadka, dwa razy w ciągu stulecia zdarzają się sytuacje, podczas którym odnajdujemy w nim bohatera. Takim bohaterem staje się on naprzykład podczas dżumy.

Gdy Jacquet zwrócił się do tego dygnitarza, autokrata znajdował się właśnie w stanie wrzenia.

— Mówiłem przecież, — krzyczał, — żeby podlać kwiaty od ulicy Masseny do placu Regnand! A wy kpicie sobie z moich rozporządzeń, do krocset! ¡Do krocset! A właśnie jest piękna pogoda i pewnie krewni przyjdą na groby swoich nieboszczyków. Ładna będzie historja! Rozwrzeszczą się jak zwykle, a potem będą opowiadali o mnie niestworzone rzeczy obgadają mnie przed całym światem...

— Mój panie, — rzekł doń Jacquet, — chciałbym wiedzieć, gdzie jest pochowana pani Juljuszowa.

— Jaka pani Juljuszowa? — spytał dygnitarz. — Pochowaliśmy w ciągu ostatniego tygodnia trzy panie Juljuszowe... Oho, — przerwał, spoglądając ku bramie, — właśnie idzie pogrzeb pułkownika de Maulincour... Przynieście mi *jego kartkę*... Piękny pogrzeb, słowo honoru! — dodał. — Nie o długo przeżył swą babkę... Niektóre rodziny to wymierają, jak na zamówienie... Ach, ci paryżanie, co to za mizerota... Za grosz zdrowia!

— Mój panie, — rzekł Jacquet, trącając go w ramię, — osoba, o którą mi chodzi, nazywa się pani Juljuszowa Desmarets, żona maklera giełdowego.

— Aha, wiem już, — odparł dygnitarz, spoglądając na Jacqueta. — To pewnie ten pogrzeb, co to na nim było trzynaście karet żałobnych, a w każdej z dwunastu pierwszych po jednym

krewnym. To było takie zabawne, że wszyscy zwróciliśmy na to uwagę...

— Mój panie, niech się pan nie zapomina! Mąż nieboszczki jest tutaj i może pana usłyszeć. Mówi pan rzeczy niestosowne.

— Przepraszam pana, ma pan słuszność. Daruje pan, ale wziąłem pana za sukcesora... Uważa pan, — dodał, zagłębiając się w plan cmentarza, — pani Juljuszowa leży od ulicy Marszałka Lefebore'a, aleja № 4, pomiędzy panną Raucourt z Komedji Francuskiej a panem Moreau - Malvin, bogatym rzeźnikiem, dla którego zamówiono już pomnik z białego marmuru; będzie to jeden z najpiękniejszych pomników na naszym cmentarzu...

— Mój panie, — przerwał wymownemu furtjanowi Jacquet, — wiem teraz tyleż, co i przedtem...

— Tak to prawda, — odrzekł furtjan, oglądając się dokoła.

— Janie, — krzyknął do robotnika, którego spostrzegł, — proszę zaprowadzić tych panów na grób pani Juljuszowej, żony maklera giełdowego! Wiecie: obok panny Raucourt, tego grobu, co to stoi na nim biust.

I dwaj przyjaciele udali się za swym przewodnikiem, lecz nim dostali się na miejsce, spotkali dwudziestu handlarzy nagrobków, krat, posągów, którzy z właściwą tym ludziom uprzejmością, ofiarowywali swe usługi.

— Gdyby pan dobrodziej chciał postawić coś, moglibyśmy urządzić to bardzo tanio...

Jacquetowi szczęśliwie udało się pozbyć tych ludzi i uwolnić przyjaciela od wysłuchiwania propozycji, które krwawią zbolałe serca i wreszcie przybyli na miejsce wiecznego spoczynku pani Juljuszowej. Ujrzawszy świeżo zasypaną mogiłę, którą robotnicy upstrzyli już patyczkami, powbijanymi w miejsca, na których należało ustawić podmurowania pod kratę — Juljusz kurczowo uchwycił się ramienia Jacqueta. Co chwila podnosił głowę i rzucał długie spojrzenia na ten płat ziemi, pod którym miał zostawić drogie szczątki istoty, która jeszcze w tej chwili była jedyną treścią jego życia.

— Jakże jej tu niewygodnie, — rzekł.

— Ależ jej tu niema, — odpał Jacquet, — ona żyje wyłącznie w twojej pamięci. Lepiej chodźmy czemprędzej z tego wstrętnego miejsca, gdzie nieboszczyków przystrajają, jak wybierające się na bal kobiety.

— Gdybyśmy zabrali ją stąd?

— Czyż to możliwe?

— Wszystko jest dla mnie możliwe! — krzyknął Juljusz. — A więc to tutaj spocznę z czasem, — dodał po chwili milczenia. — Jest jeszcze trochę miejsca.

Jacquet uprowadził go z tego ponurego miejsca, podzielonego niby szachownica, bronzowemi kratami, wśród których wznosiły się ozdobione palmami i napisami groby, zroszone łzami tak chłodnemi, jak kamienie, z których *pogrążeni w nieutulonym żalu* rzeźbili symbole swych smutków i podobizny herbów. Znajdziecie tam i gładkie słówka wyryte na czarnym marmurze, i epigramata przeciw ciekawym, wytworne w stylu słowa pożegnania, wyznaczone spotkania tam, w zaświatach, pretensjonalne biografje; tu żelazne lance, ówdzie urny egipskie, gdzieniegdzie armaty; wszędzie emblematy tysiąca fachów. Niema tam dominującego stylu, wszystkie pomięszane są bezładnie: styl maurytański, grecki, gotycki, renensasowy, barokowy, malowidła i urny, duchy, świątynie, zwiędłe nieśmiertelniki i martwe róże. Co za obmierzła komedja! Poznać w niej Paryż z jego ulicami, szyldami, hotelami, fabrykami, lecz Paryż widziany przez zmniejszające szkła lornetki, Paryż mikroskopijny, zredukowany do sfery cieniów, pełen rozkładającej się zgnilizny, zamieszkały przez gatunek ludzki, który z dawnego żywota zachował jeno próżność.

Rzuciwszy okiem na tę miniaturę Paryża, spojrzał Juljusz pod siebie i ujrzał u swych stóp, w dolinie Sekwany, między płaszczyzną Vaugirard, wzgórzami Belleville i Montmarte, prawdziwy Paryż, otoczony niebieskawym obłokiem dymu. przezroczystego w świetle spadających z wyżyn promieni słonecznych. Jednym rzutem oka ogarnął te czterdzieści tysięcy domów i rzek, wskazując przestrzeń między placem Vendôme a złotą kopułą gmachu Inwalidów:

— Oto wskutek czego utraciłem ją. Wskutek bezmyślnej ciekawości tej gromady, która drga i spieszy się jedynie po to, by drgać i spieszyć się.

O cztery mile dalej, na brzegu Sekwany, w skromnej wiosce, położonej na stoku jednego z tych wzgórz, które długim, wysokim łańcuchem otaczają olbrzymi Paryż, kołyszący się wśród nich, jak dziecię w kolebce, odbywała się scena śmierci, żałoby i smutku, lecz wolna od paryskiej okrasy, nie oświetlały jej pochodnie, ni świece, nie urozmaicały żałobnie przybrane karety. Nie rozlegały się żałobne pienia, ni modlitwy, była to śmierć w całej swej prostocie. Oto co się stało. Rankiem na wybrzeżu wśród piasków i trzcin znaleziono zwłoki młodej dziewczyny. Robotnicy, wydobywający piasek z dna rzeki, udając się rankiem na robotę, ujrzeli z swej wątłej łodzi unoszące się po powierzchni ciało.

— Patrz, zarobiliśmy pięćdziesiąt franków,— rzekł jeden.

— A tak, prawda, — odparł drugi.

Dopłynęli do zmarłej.

— Piękna dziewczyna.

— Chodźmy do urzędu złożyć deklarację.

I dwaj piaskarze, okrywszy zwłoki własnemi kurtkami, udali się do mera wioski, który był wielce niezadowony, że będzie musiał spisywać protokół.

Wieść o znalezieniu trupa rozeszła się po wsi z tą błyskawiczną szybkością, która cechuje zapadłe kąty, gdzie ludzie znajdują się w wiecznym kontakcie i obmowy, pogłoski, oszczerstwa i wieści kursują bez przeszkód. Wkrótce też

zjawiło się w merostwie kilku ludzi, którzy wybawili z kłopotu czcigodnego mera. Zamiast protokółu mógł był spisać zwykły akt zejścia, przybyli bowiem ustalili osobistość topielicy. Była to Ida Gruget, gorseciarka, zamieszkała przy ulicy Corderies-du-Temple № 14. Wówczas władze sądowe zawiadomiły matkę nieboszczki, wdowę Gruget która przybyła, zaopatrzona w list córki. Przy akompanjamencie jęków i zawodzeń starej matki, lekarz stwierdził śmierć przez uduszenie, spowodowane napływem do płuc krwi i formalności zostały załatwione. Po krótkiem śledztwie i zaczerpnięciu pewnych informacji, władze o szóstej wieczorem zozwoliły na pochowanie biednej gryzetki. Lecz miejscowy ksiądz odmówił przyjęcia jej w kościele i odprawienia modłów za jej duszę. Wówczas pewna stara chłopka zawinęła ciało Idy Gruget w całun, złożyła do prostej, sosnowej, naprędce zbitej z kilku desek trumny i czterech ludzi poniosło na cmentarz młodą samobójczynię. Za trumną szło kilka wieśniaczek, wiedzionych ciekawością, które po drodze opowiadały sobie wzajem szczegóły śmierci i wyrażały swe ubolewanie. Wdowę Gruget zatrzymała u siebie jedna z wieśniaczek, pocieszając ją w tem strapieniu. Człowiek, piastujący w gminie trojakie funkcje: zakrystjana, dzwonnika i grabarza, wykopał dół na cmentarzyku wiejskim, którego obszar nie przekraczał pół pręta. Znajdował się on za kościołem, jednym z tych dobrze znanych, klasycznych kościołków wiejskich, ozdobionych kwadratową wieżą o spiczastym dachu. Za owym kościołem był ubogi cmentarz, otoczony zniszczonym, rozpadającym się murem. Nie znalazłbyś tu ani marmurów, ani posągów, lecz każdą brózdę zrosiły tu szczere łzy i żalu. Lecz pogrzeb Idy Gruget odbył się bez łez. Rzucono ją do dołu w kącie cmentarza między krzewy a trawy. Skoro tylko złożono trumnę na tem miejscu, tak poetycznem w swej prostocie, kumoszki, które odprowadziły zmarłą na miejsce wiecznego spoczynku, rozesły się do domów i grabarz pozostał sam wśród zapadającego mroku. Gdy zasypywał dół, zatrzymując się chwilami i rzucając spojrzenia ponad mur, na drogę, wiodącą ku Paryżowi i, wsparłszy się na łopacie, spoglądał na płynącą o sto kroków przed nim Sekwanę, która przyniosła mu to ciało, nagle usłyszał tuż koło siebie czyjś głos.

— Biedna dziewczyna! — krzyknął ktoś, ukazawszy się nagle obok grabarza.

— Ach, jak mnie pan przestraszył! — rzekł grabarz.

— Czy odprawiono nabożeństwo za tę dziewczynę, którą tu chowacie?

— Nie, proszę pana. Ksiądz nie chciał. To pierwsza osoba nie znaszej parafji, którą chowamy na tym cmentarzu. Tu wszyscy się znają... Czy łaskawy pan?... Patrzcie państwo, już poszedł!

Po upływie kilku dni zjawił się w pałacu Juljusza czarno ubrany jegomość i, nic nie mówiąc, złożył w dawnym pokoju żony wielką urnę, na której wypisane były następujące słowa:

INVITA LEGE
CONJUGI MOERENTI
filiole cineres
restituit
amicis XII juventibus
m o r i b u n d u s p a t e r *)

— Co za dziwny człowiek! — rzekł Juljusz, tonąc we łzach.

W ciągu ośmiu dni makler giełdowy zdołał uczynić zadość życzeniom, wyrażonym przed śmiercią przez żonę. Sprzedał swój urząd bratu Marcina Faleixa i wyjechał z Paryża w chwili, gdy administracja rozważała jeszcze, czy małżonek może według prawa rozporządzać ciałem zmarłej żony.

Któż nie spotkał na bulwarach Paryża, lub też na skręcie ulicy, lub pod arkadami Pałacu Królewskiego, lub, wreszcie, w jakiemkolwiek innem miejscu, na którem znalazł się przypadkowo, osobistości, wywołującej swym widokiem tysiąc najróżnorodniejszych myśli? Na ich widok niespodzianie odczuwamy zainteresowanie: czy to z powodu rysów twarzy, których dziwaczny wygląd pozwala domyślać się burzliwego życia, czy to z powodu ciekawego wrażenia, jakie wywołują ich gęsty, chód, ubranie, czy to z powodu specjalnie głębokiego wzroku, czy wreszcie, z powodu czegoś nieokreślonego, co uderza nas nagle i mocno, choć sami nie zdajemy sobie sprawy, jaki jest powód naszego wzruszenia. Potem, nazajutrz, inne myśli inne obrazy paryskie zacierają to przelotne wrażenie. Lecz, jeśli spotkamy osobistość taką ponownie, gdy błądzi ona po Paryżu i oddaje się rozkoszom przechadzki, jak gdyby stanowiła część ruchomego inwentarza miejskiego, lub gdy udaje się o określonej godzinie z urzędu do domu lub z domu do urzędu, któremu przez ośm godzin na dobę poświęca swe siły, lub na premjerze w teatrze, albo w restauracji, której osobnik taki jest ozdobą,— wówczas osobistość ta wraża się w naszą pamięć i pozostaje w niej wyryta, niby pierwszy tom romansu, którego rozwiązania nie możemy domyśleć się. Mamy chęć spytać go: „Kto pan jesteś? Dlaczego włóczy się pan z laską o rączce z kości słoniowej w ręku, w pomiętej kamizelce? Co znaczą pańskie okulary o niebieskich szkłach?“ Lub też: „Dlaczego nosi pan niemodny krawat, jaki noszono przed trzydziestu laty? Wśród tych włóczących się istot jedne wywierają wrażenie typów, służących rzeźbiarzom za modele do posągów, symbolicznych wyobrażających cztery pory roku, handel, przemysł, bogactwo i t. d.

Inne, rekrutujące się z pomiędzy pensjonowanych syndyków, starych kupców, dymisjonowanych generałów, znajdują się wciąż w ruchu a wydaje się, że stoją wciąż na jednem i temsamem miejscu. Podobnie, jak te drzewa z obna-

*) Zgodnie z prawem, zasłużonego małżonkami, prochy córy doręcza z pomocą dwunastu przyjaciół umierający ojciec.

żonymi korzeniami, które chylą się nad brzegiem rzeki, tak też i oni nigdy nie stają się częścią potoku paryskiego, ani wiecznie młodego i ruchliwego tłumu Paryża. Trudno określić, czy zapominano ich pochować, czy też wyrwali się oni z trumien. Bądźcobądź znajdują się oni w stanie wykopaliskowym. Jeden z takich typów paryskich wmięszał się od kilku dni w poważny i skupiony tłum, który podczas dni pogodnych niezmiennie zaludnia przestrzeń między południową kratą ogrodu Luksemburskiego a północną kratą Obserwatorjum, ową nieokreśloną przestrzeń, mającą dla Paryża to znaczenie, co neutralny pas dla państw. Istotnie, tu Paryż nie jest właściwym Paryżem, a przecież jest to niezaprzeczenie terytorjum paryskie. Jest to coś pośredniego między placem a ulicą lub bulwarem, między fortyfikacją a ogrodem, aleją a drogą, prowincją a stolicą. Jest po części wszystkiem tem, a całkowicie niczem; jest to pustynia. Dokoła tego nieokreślonego miejsca wznoszą się liczne gmachy, jako to: przytułek dla podrzutków, szpital Cochina, klasztor Kapucynów, przytułek Rochefoucaulda, instytut głuchoniemych, szpital wojskowy, zwany Val-de-Grâce. Jednem słowem, przytuliły się tu wszystkie nędze i nieszczęścia Paryża; aby zaś uzupełnić obraz tego filantropijnego zakątka, nauka obrała tu również siedlisko, w gmachu w którym bada się istotę bagien, uczy o długościach i szerokościach geograficznych; pan de Chateaubriand umieścił tu szpital Marji Teresy, Karmelici zaś założyli klasztor. Poważne momenty życiowe zwiastują tu dzwony, nieustannie dzwoniące w tej pustyni: matce, która wydaje na świat dziecię, dziecięciu, które przychodzi na świat, grzechowi, który zmaga się z cnotą mieszkańców klasztoru, robotnikowi, który umiera, dziewicy, która się modli, starcowi, który drży z zimna, geniuszowi, który błądzi w uczelni. O parę kroków dalej znajduje się cmentarz Mont-Parnasse, który przyciąga skromne orszaki pogrzebowe z dzielnicy Saint — Mareau. To górujące nad Paryżem miejsce zostało zawojowane—w sposób pokojowy, bez przelewu krwi — przez amatorów gry w piłkę, starych siwiejących jegomościów, poczciwców, którzy przechowali obyczaje przodków i których twarze porównać można tylko z twarzami ich publiczności, tej żywej galerji, która przygląda się ich zabawie. Człowiek jakiś, od niedawna mieszkaniec tej odludnej dzielnicy, przyglądał się od rana do wieczora partjom piłki. Miał on niezaprzeczone prawo do opinji najoryginalniejszej postaci wśród całej tej grzęzy, którą jeśli wolno porównywać Paryżan z gatunkami zoologicznymi, należy do rodzaju mięczaków. Ow przybysz zachowywał się tak, jak gdyby jakiś sympatyczny węzeł łączył go z *świnką*, która stanowi w grze cel wysiłków i przedmiot marzeń graczy. Tajemniczy osobnik spierał się o drzewo, gdy *świnka* zatrzymywała się i z uwagą psa przyglądającego się ruchom swego pana, obserwował w powietrzu spadające na ziemię piłki. Możnaby go wziąć za fantastycznego ducha *świnki*. Nigdy nie przemówił jednego słówka, lecz gracze, jak wiadomo najfanatyczniejsi ludzie, jakich spotkać można wśród członków jakiejbądź sekty religijnej — nie widzieli widocznie nic podejrzanego w jego upartem milczeniu, gdyż nigdy go nie interpelowali. Niektórzy z nich sądzili, że ich stały obserwator musi być głuchoniemym. W wypadkach gdy należało określić różnicę przestrzeni, dzieląc piłki od *świnki*, laska nieznajomego stawała się ogólnie przyjętą miarą. Gracze wyjmowali ją z lodowatych rąk starca, nie mówiąc ani słówka, nie czyniąc nawet żadnego gestu. Wypożyczanie laski było czemś w rodzaju serwitutu, milcząco przejętego przez owego widza. Jeśli lał deszcz, pozostawał obok świnki, niby niewolnik piłek i stróż napoczętej partji. Ani deszcz ani upały nie wywierały nań najmniejszego wrażenia, był on, podobnie jak gracze, czemś pośredniem między najmniej inteligentnym Paryżaninem a najinteligentniejszem zwierzęciem. Prócz tego był blady i pomarszczony, wiecznie zaniedbany, a tak roztargniony, że często przychodził tu bez kapelusza, ukazując swe siwe włosy i olbrzymie, kwadratowe i żółte czoło, podobne do kolana, które prześwieca przezez dziury w spodniach biedaka. We wzroku jego nie malowała się żadna myśl, chodził, zataczając się jak pijany; nigdy nie uśmiechał się, nigdy nie podnosił do nieba oczu, które uparcie wbijał w ziemię, jak gdyby szukał tam czegoś. O czwartej po południu zjawiała się jakaś staruszka, która zabierała go i prowadziła niewiadomo dokąd, ciągnąc go za ramię w ten sam mniej więcej sposób, w jaki dziewczyna wiejska ciągnie kapryśną kozę, która chce jeszcze szczypać trawkę, kiedy czas już wracać do zagrody. Starzec ten wywierał wrażenie okropne, wstrząsające.

Pewnego południa Juljusz, jadąc samotnie karetką pocztową zajechał na plac Obserwatorjum w chwili, gdy starzec nasz stał oparty o drzewo a roznamiętnieni gracze wyjmowali mu swoim zwyczajem laskę z ręki. Juljuszowi wydało się, że poznaje tę postać, więc chciał zatrzymywać się, i właśnie w tej chwili karetka przystanęła. Woźnica zatrzymał konie, nie chcąc spotkać się z jadącymi na przeciw wózkami, ani też krzyknąć roznamiętnionym graczom, by zeszli z drogi — gdyż znał i miał respekt przed wybuchowością gawiedzi paryskiej,

— Tak, to on! — rzekł Juljusz, poznając w tej minie ludzkiej Farragusa XXIII, wodza pożeraczów. — Jak on ją kochał. — dodał po chwili. — W drogę! — krzyknął do pocztyljona.

KONIEC.

Przełożył z francuskiego *Jerzy Huzarski*.

RABINDRANATH TAGORE

Z CYKLU: „NA NOWIU MIESIĄCA".

NAD BRZEGIEM MORZA.

Nad brzegiem morskim bezgranicznych światów spotykają się dzieci.

Nieskończone niebiosa rozpostarły się po nad ziemią, a woda szumi i burzy się bezustannie. Na wybrzeżu niezmierzonych światów dzieci się spotykają z weselem i tańcami.

Budują sobie domy z piasku i bawią się pustemi muszelkami. Ze zwiędłych liści plotą czółna i z uśmiechem puszczają na przepastną głębinę. Na skraju światów igrają dzieci.

Nie umieją pływać, nie wiedzą jak zarzucać sieci. Nurkowie pławią się w wodzie w pogoni za perłami, kupcy żeglują na okrętach, podczas gdy dzieci zbierają krzemienie i rozsypują je znowu. Nie doszukują się oni ukrytych skarbów, nie wiedzą w jaki sposób zarzucać sieci.

Morze wzdyma się, chichocząc, i bladym lśni uśmiechem pobrzeże. Śmiercionośne fale nucą łagodne dumki dzieciom, niby matki nad kołyską swych pociech. Morze igra z maleństwami i blado połyskuje uśmiech wybrzeży.

Na rubieży nieskończonych światów dzieci się spotykają. Burze szaleją wśród bezmiernych przestworów, okręty giną w wirze rozpryskujących się bałwanów, niewidziany zgon czai się już blisko, a dziatwa wciąż zatopiona jest w zabawie. Wybrzeże nieskończonych światów to miejsce igraszek dzieci.

SZKOŁA KWIATÓW.

Gdy chmury rozigrane burzą turkoczą na niebie, czerwcowe spadają deszcze, a wilgotny wiatr wschodni dmie po przez wrzosowiska, aby kobzę swą nadąć w bambusach;

Wówczas kwiaty ciżbą występują nagle z ukrycia i w pląsach zabawiają się na murawie.

Sądzę matko, iż kwiatki mają swe szkółki podziemne. Odrabiają one lekcje przy drzwiach zamkniętych, a gdy przed czasem nabierają ochoty do wyjścia nauczyciel karci je i stawia do kąta.

Po deszczu następują wakacje.

W lesie gałęzie obijają się o siebie, w dzikim podmuchu szeleszczą liście, nadziane gromem obłoki uderzają w potężne dłonie, wówczas to dziatwa kwiatowa wyrusza przystrojona w różowe, żółte i białe suknie. Ich dom wysoko jest na niebie, to też żądne są się, tam dostać i spieszą się niesłychanie.

Ja bo domyślam się, do kogo wyciągają rączęta. One mają własną swą matkę tak jak i ja.

KRES.

Odchodzę matko—już czas na mnie.

Gdy w zmrokach majaczącej jutrzenki wyciągniesz dłonie po dziecię twe w kołysce odpowie ci: „Już niema twego maleństwa". Odchodzę matko.

Jako wątła fala powietrzna pieścić cię będę, niby zmarszczka wodna całować w kąpieli.

W noc burzliwą gdy deszcz z pluskiem staczać się będzie po liściach—westchnienie me trąci łoże twoje, a śmiech wtoczy się błyskawicą po przez otwarte okno do twojej sypialni.

A gdy cię sen odbiegnie i myśl uparcie uczepi się twego dziecięcia, zanucę ci hen! z gwiazd: „Śpij matko śpij".

Wraz z łuną miesiąca pochylę się nad twem łożem i spocznę na twej piersi, gdy śnić będziesz.

Jako widziadło senne wcisnę się pod twe powieki, wkradnę się w głębię twych marzeń, a gdy się zbudzisz i rozejrzysz, zabłysnę jak ognik i rozpłynę się w cieniach.

Gdy podczas uroczystości dzieci z sąsiedztwa w zabawie posuną się pod drzwi nasze, rozpłynę się w dźwiękach fujarki i echem jej grać będę w sercu twojem przez dzień cały.

A kiedy cioteczka zbliży się z podarunkiem i zapyta: „gdzie nasze maleństwo siostro", odpowiesz jej łagodnie:

„Ono jest w źrenicach oczu moich, w ciele mojem i duszy!"

Przełożyła z angielskiego

A. Z.

Spis rzeczy za rok 1913.

Artykuły pomniejsze i notatki różnej treści.

Sylwety.

Życiorysy, notatki biograficzne i wspomnienia pośmiertne.

Teatr i muzyka.

Reprodukcje dzieł sztuki.

Feljetony i artykuły z chwili bieżącej.

Impresje i Obrazki Warszawskie.

Poezje oryginalne i tłomaczone.

Malarstwo, rzeźba, architektura.

Wystawa Trzebińskiego i Mondrala—M. Dienstl, 3 il., № 8.
Wystawa „Niezależnych" — M. Dienstl, 17 il., № 9 i 10.
Wystawa Stano-Paradowskiej — St. J. Kozłowskiego, 5 il., № 10.
Wystawa ś. p. Aliny Grabowskiej w salonie Richlinga — m. d., 1 il., № 11.
„Wystawa roku 1813" w salonie Richlinga—J. A., 4 il, № 14.
Piotr Michałowski w Zachęcie — Feliks Lubierzyński, 3 il., № 15.
Paryski salon wiosenny—S. Auerbach, 4 il., № 26.
Auguste Rodin—M. Dienstl, № 29.
Franciszek Stuck, 3 il. — Marjan Dienstl, № 30.
Karol Larsson — M. Dienstl, 4 il., № 31.
Sztuka francuska XIII wieku, 6 il.—Marjan Dienstl, № 32.
Giovanni Segantini, 4 il. — M. Dienstl, № 33.
Z wystaw Zachęty, 2 il. — Feliks Lubierzyński, № 36.
Robert Vlerick, 3 il. — Wacława Kiślańska, № 39.

Korespondencje.

Listy z Bałkanu—Mieczysław Jełowicki, 18 il., № 2, 4, 5, 6, 7, 8, 11, 16, 17, 18, 20.
Z Inflant—Andrzej Marek, 12 il., № 12, 13.
Zdrojowisko nadniemeńskie — Ant. Or., № 17.
Teatr Polski w Paryżu—S. Auerbach, № 23.
Wystawa Kijowska — Kijowianin, № 25.
Paryski Salon wiosenny, 4 il. — S. Auerbach, № 26.
Wystawa kijowska — Kijowianin, № 29.
Wystawa kijowska (dokończenie), № 30.
Echa ze wsi—Agricola, № 33.
Wystawa architektoniczna w Lipsku 1913 r. — Marjan Dienstl, 4 il. № 34.
Z Ciechocinka, 6 il. — F. Kwaśniewski, № 35.
Z Ciechocinka, 4 il., — F. Kwaśniewski, № 36.

Femina.

Białe niewolnice—Iza Moszczeńska, 3 il, № 1 i 2.
Sylwester, 2 il. O rękach i nóżkach, 3 il.—Marcèle, № 1.
Panna Eleonora Lopez, 1 il., № 1
Wystawa obrazów, rzeźb i sukien, № 1.
Miasto rozwodów, № 1.
Pani domu moderne style—Marcèle, 2 il., № 2.
Współczesne gry towarzyskie — Marcèle, 3 il., № 2.
Zły—Roman Krukowski, № 2.
Tydzień, № 2,
Skarbonka z muzyką, № 2.
Dama i czek, № 2.
Charakterystyka mody obecnej—Marcèle, 3 il., № 3.
Pogadanki londyńskie — Witold Bunikiewicz, 3 il., № 3.
Zęby z sewrskiej porcelany, № 3.
Wspomnienia ametystu, № 3.
Klub brzydkich kobiet, № 3.
Spacer paryżanki — spolszczyła Marcèle, 2 il., № 4,
Szkolne roboty ręczne—E. Ż., 4.
Legenda o pierwszej mufce, № 4.
Paryżanka, № 4.
Rękawiczka artystki, № 4.
Sporty zimowe — Marcèle, 2 il., № 5.
Asta Nilsen, 1 il., № 5.
Pani Poincaré, 1 il., № 5.
Prawo kobiet. Dla niecierpliwych narzeczonych. Górą matki. Kobiety w Turcyi. Bułgarya i róże — M., № 5.
Szczegóły tualet wieczorowych i rautowych—Marcèle, 2 il., № 6.
Najnowszy i najmodniejszy taniec, 1 il., № 6.
Panny w Chicago. O przepych w salonach. Zabobony noworoczne. Jak stoi we Francji sztuka pięknego obucia, № 6.
Ellen Key—E. Żypowska, № 7.
Fałszywa elegancya — Marcèle, 1 il., № 7.
Wybryki mody — Marcèle, 3 il., № 7.
Kobiety a wojna —Alina, № 8.
Kapelusz—Marcèle, 2 il., № 8.
Lady Havdingue.
Kilka nowin ze świata mody — Marcèle, № 8.
Psotliwy teatr, № 8.
Praktyczna szkoła handlowa w Paryżu—Żypowska № 9 i 10.
Po teatrze—Marcèle, 2 il., IX.
O pielęgnowaniu rąk i paznogci—Marcèle, № 9.
Malarze pięknych kobiet — Marcèle, 3 il., № 10.
Nowiny i nowinki: Nowa potrawa. Kobiecy hotel, № 10.
Międzynarodowa szkoła pedologji w Brukselli—E. Żypowska, № 11.
Królowa klejnotów—Marcèle, 3 il., № 11.
Moda przed sezonem — Marcele, 2 il., № 11.
Prawo do kieszeni, № 11.
Głód życia—Alina. № 12.
Jajko wielkanocne, 1 il., № 12.
Wagon sypialny — Marcèle, 2 il., № 12.
Atłasowe trzewiki, № 12.
Stara panna—J. Appenszlak, № 13.
Przed lustrem — Marcèle, 2 il., № 13.
Kostjumy „Trotteur" — Marcèle, 2 il., № 12,
Czynniki szczęścia w życiu dziecięcym—E. Żypowska, № 14.
Uczesania, obucie, modny brelok „Laplaque"—Marcèle, 2 il., № 14.
Boston-club, 1 il, № 14.
Własna żona—Marcele, 4 il., 15.
Bilard, 1 il., № 15.
Czynniki szczęścia w wieku dziecięcym — E. Zypowska, № 13 i 14.
Mody, № 18.
Sufrażystki—M. Dąbrowski, № 19.
Mój typ—Marcèle, № 19.
Piękność kobiety współczesnej (1) E. Żypowska.
W szesnastej wiośnie — Marcèle, № 20.
Piękność kobiety współczesnej (2) E. Żypowska.
Mona Delza — Marcèle. Roboty ręczne, № 21.
Podróże poślubne—Marcèle, № 22.
Piękność kobiety współczesnej (3) E. Żypowska.
Tualety ślubne — Marcèle, № 23.
Doktorat nauk domowych — (m. w. r.).
Negliże Marcèle, № 24.
Moda w lecie obecnem — Marcèle, № 25.
Tualety z „Dudka". Moda wiedeńska, № 26.
Kostjumy kąpielowe w 1913 roku—Marcèle. Futra w lecie—Marcèle. Choroba włosów i siwizna. Z literatury kobiecej — K. Łozińska, № 27.
Tualety z „Modnego małżeństwa". Wyjazdy — Marcèle, 3 il.
Derby paryskie, № 29.
Dobroczynne pomysły mody — Marcele. Wskazówki kosmetyczne, № 30.
Tualety ze „Strusia" i „Męża z loteryi". Płaszcze kąpielowe — Marcèle, № 31.
„Pożeracze"—Wera Skórkowska. Trzy strojne tualety. Słomiane wdowy i słomiani wdowcy. Chorobliwe przypadłości włosów. Kobiety na uniwersytetach niemieckich — Marcèle, № 32.
Sufrażystki, 2 il. Rozrywki letnie, 2 il. Wokoło kobiety — Marcèle, № 33.
Sumurun i Nur al Din, 2 il. Regaty żaglowe w Bringhton, 1 il. — Marcèle 34.
Tualety z „Panien". Starożytności, 2 il.—Marcèle, № 35.
Półsezon jesienny, 3 il. Elegancja na wsi, 2 il. Wskazówki kosmetyczne — Marcèle, № 36.
Stopy i nóżki kobiece, 2 il. Wystawa „Królestwo mody". Przy telefonie, 2 il.—Marcèle, № 38.
Kobieta jutra i kult dziewicy—K. Łozińska. Kronika. Ubiór dziecka, 4 il. Okrycia jesienne i futra. Odpowiedzi Redakcyi, № 39.
Kobieta jutra i kult dziewicy dokończenie) — K. Łozińska. Kronika. Królestwo futer, 2 il. Odpowiedzi Redakcyi, № 40.
Protest kobiet greckich przeciw okrucieństwu bułgarów. Kronika. Poradnik gospodarczy № 41.
Z literatury kobiecej — K. Łozińska. Tualety z „Lekarza na rozdrożu". Tablice mód jesiennych (dodatek) № 42.
Z literatury kobiecej. Kronika. Moda № 43.
Jedna z niewielu—Z. B. Z dziedziny hygieny. Kronika. № 44.
Tualety z „Siostry Heleny" № 44.
Moda i teatr № 45.
Jedna z niewielu (dokończenie) Z ruchu kobiecego. Moda № 46.
Ankieta „Przeglądu tygodniowego" w Paryżu—K. Ł. Z sali odczytów. Kronika № 47.
Z literatury kobiecej. R. Łozińska. Kronika. Moda. Budżet tualety kobiecej № 48.
Moda 49.
Z dziedziny hygjeny. Dr. G. Majewska. Praktyczne wskazówki tualetowe. Moda № 50.
Wieczór wigilijny i moda. Kronika № 51.
Psychologja zabawek № 52.

Popularyzacja wiedzy.

Co to jest życie — M. Heilpern, № 1.
Nowoczesna artylerja okrętowa, 5 il., № 1.
Przewożenie rannych, 2 il., № 1.
Studja fotograficzno-fizjonomiczne, 3 il., № 1.
Podróż naokoło świata — Tahiti, 3 il., № 2.
Nowy przyrząd przytłumiający szum i wstrząśnienia maszyn, 1 il., № 2.
Szkoły przyszłości—M. Heilpern, 1 il., № 3.
Osy, jako architekci — M. Heilpern, 4 il., № 4.
Przekazywanie myśli — M. Heilpern, № 6.
Kronika popularyzacji wiedzy, № 6.
Pochodzenie człowieka—M. Heilpern, № 7.
Kronika popularyzacji wiedzy, № 7.
Co można zrobić z pokrzywy — M. Heilpern, 3 l., № 8 i 10.
Kronika popularyzacji wiedzy, № 11 i 14.
Kronika popularyzacji wiedzy, № 11.
Kronika popularyzacji wiedzy, № 12.
Kronika popularyzacji wiedzy, № 14.
Poezya i rzeczywistość w Królestwie roślin—S. el., 2 il., № 14.
Przelewanie krwi. Kronika, № 18.
Przyszłość lotnictwa—A. Wiewiórowski, № 19.
Walka o byt w świecie roślinnym. Kronika, № 21.
Rozwój embrjologji (1)—S. Dziedzicki, № 23.
Rozwój embrjologji (2)—S. Dziedzicki. Kronika, № 24.
Kronika, 25.
Samojazd na usługach rolnictwa, 2 il.—J. T., 26.
Kronika popularyzacji wiedzy, № 27.
Geograficz. rozmieszczenie zwierząt — S. D. Kronika popularyzacji wiedzy, № 29.
Geograficz. rozmieszczenie zwierząt—S. D. Kronika, № 31.
Geograficz. rozmieszczenie zwierząt—S. D. Kronika, № 32.
Geograficz. rozmieszczenie zwierząt—S. D. Kronika, № 33.
Geograficz. rozmieszczenie zwierząt—S. D. Kronika, № 34.
Skąd się zjawił pierwszy mieszkaniec Ameryki, 2 il — K. G. B. Kronika, № 36.
Skąd się zjawił pierwszy mieszkaniec Ameryki (2)—K. G. B. Kronika, № 39.
Nowe wykopaliska szczątków człowieka pierwotnego. Kronika № 42.
Z postępów wiedzy i pracy. Kronika № 48.
Kronika popularyzacji wiedzy № 49.

Literatura nasza i obca.

Nr 1. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Wybraniec losu — Włodzimierz Perzyński. Stare Lwy—Kazimierz Gliński. Zaraza—Michał Czajkowski—Sadyk-Pasza. Fatema. Ernest Hardt. Moja własna opowieść o duchu—R. Kipling (przeł. Ad. Z.).
Nr 2. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Stare lwy — Kazimierz Gliński. Wybraniec losu — Włodzimierz Perzyński. Zaraza — Michał Czajkowski-Sadyk-Pasza. Fatema—Ernest Hard. Moja własna opowieść o duchu—R. Kipling (prz. Ad. Z.).
Nr 3. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Stare lwy — Kazimierz Gliński. Wybraniec losu — Włodzimierz Perzyński Zaraza—Michał Czajkowski-Sadyk-Pasza. Duszyczka—L. Couperus (z holenderskiego). Intruz L. D. Roberts (przeł. A. Z.).
Nr 4. Czarny chleb — Marja Rodziewiczówna. Stare lwy—Kazimierz Gliński. Bohater — Tadeusz Jaroszyński. Duszyczka — L. Couperus (z holenderskiego). Intruz—Charles G. D. Roberts (przeł. A. Z.).
Nr 5. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Stare lwy—Kazimierz Gliński. Bohater— Tadeusz Jaroszyński. Rosa-Rose-Barry Pain (z angielskiego). Intruz — Charles G. D. Roberts (przeł. A. Z.).
Nr 6. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Stare lwy—Kazimierz Gliński. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Zazdrosny Estramadurczyk — Miguels de Cervantes Saavedra (przeł. z hiszp. Z. M.). Skończyło się—Elisa Koenigtdoerffer (z niemieckiego).
Nr 7. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Stare lwy — Kazimierz Gliński. Niewolnik—J. Maciejowski. Pożegnanie — Reinhold Ostmann (z niemieckiego przeł. Malwina B.). Zazdrosny Estramadurczyk—Miguel de Carvantes Saavedra (z hiszp. Z. M.).
Nr 8. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Stare lwy—Kazimierz Gliński. Niewolnik—J. Maciejowski. Dwie matki — Karol Munchman (z norweg. przeł. Malwina B.). Zazdrosny Estramadurcyk—Miguel de Cenvantes Saavedra (z hiszp. przeł. Z. M.).
Nr 9. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Stare lwy—Kazimierz Gliński. Opowiadanie chorego—Marek Twain. Zazdrosny Estramadurczyk—Miguel de Cervantes Saavadra (z hisz. Z. M.).
Nr 11. Takiemi patrzyły, bo innych nie miały. Czyli dwa punkty widzenia—E. Żmijewska. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Stare lwy—Kazimierz Gliński. Odwieczne pytanie—Hans Land (z niemieckiego). Trzy róże ponsowe — Marja Sik (z szwedz. przeł. Adela Z.) Zazdrosny Estramadurczyk — Miguel de Cervantes Saavedra (z hiszp. Z. M.).
Nr 12. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna... Takiemi patrzały, bo innych nie miały—czyli dwa punkty widzenia — E. Żmijewska. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Odwieczne pytanie—Hans Land (z niemieckiego). Trzy róże ponsowe — Marja Sik (z szwedz. przeł. Adela Z.) Zazdrosny Estramadurczyk—Miguel de Cervantes Saavedra (z hiszp. Z. M.).
Nr 13. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna... Bohater—Tadeusz Jarcszyński. Stare lwy—Kazimierz Gliński. Zazdrosny Estramadurczyk—Miguel de Cervantes Saavedra (z hiszp. Z. M.).
Nr 14. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Bohater — Tadeusz Jaroszyński. Stare lwy — Kazimierz Gliński. Zaufanie — Jack London (z angiel.). Zazdrosny Estramadurczyk—Miguel de Cervantes Saavedra (z hiszp. Z. M.).
Nr 15. Czarny chleb—Marja Rodziewiczówna. Bohater-Tadeusz Jaroszyński.
Nr 16. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Stare lwy—Kazimierz Gliński.
Nr 17. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Cudowne dziecko — Herman Bang. Jałmużna V. B. Ibaneza. Zaufanie. Jacka Londona.
Nr. 18. Bohater Tadeusz Jaroszyński. Rouge et noir—K. Łozińska. Cudowne dziecko — Herman Bang. Usta, które nie zaznały pocałunku—Jakób Wasserman. Jałmużna—V. B. Ibanez.
Nr 19 King of life—J. Appenszlak. Sfinks bez tajemnicy—Oskar Wilde. Poematy prozą — Oskar Wilde. Duch z Cantervile—Oskar Wilde.
20. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Rewolucjonista — Stefanja Zajaszewiczowa. Dziedzic — Zygmunt Kawecki. Duch z Canterville — Oskar Wilde.
21. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Dziedzic — Zygmunt Kawecki. Rewolucjonista — Stefanja Zajaszewiczowa. Cudowne dziecko. Herman Bang. Usta, które nie zaznały pocałunku—Jakób Wasserman.
Bohater. — Tadeusz Jaroszyński. Dziedzic — Zygmunt Kawecki. Rewolucja—Stefanja Zajaszewiczowa. Cudowne dziecko — Herman Bang. Usta, które nie zaznały pocałunku. Jakób Wasserman Nr 22.
Nr. 23 Bohater — Tadeusz Jaroszyński. Dziedzic—Zygmunt Kawecki. Rewolucjonista—Stefanja Zajaszewiczowa. Cudowne dziecko—Herman Bang. Usta, które nie zaznały pocałunku—Jakób Wasserman.
№ 24. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Dziedzic — Zygmunt Kawecki. Rewolucjonista — Stefanja Zajaszewiczowa. Cudowne dziecko.—Herman Bang. Usta, które nie zaznały pocałunku—Jakób Wasserman.
№ 25. Bohater—Tadeusz Jaroszyński. Jak w Bajce — Marjan Orlicz. „Ira! Ira!"—Cecylja Walewska. Usta, które nie zaznały pocałunku — Jakób Wasserman.

Humor i satyra.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50	**miesięcznie 60 k.**
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75	
Za granicą i za oceanem	„ „ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50	

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojedynczy 8 kop. . Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
W sprawach redakcyjnych porozumiewać się można od 5 — 7 w.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.